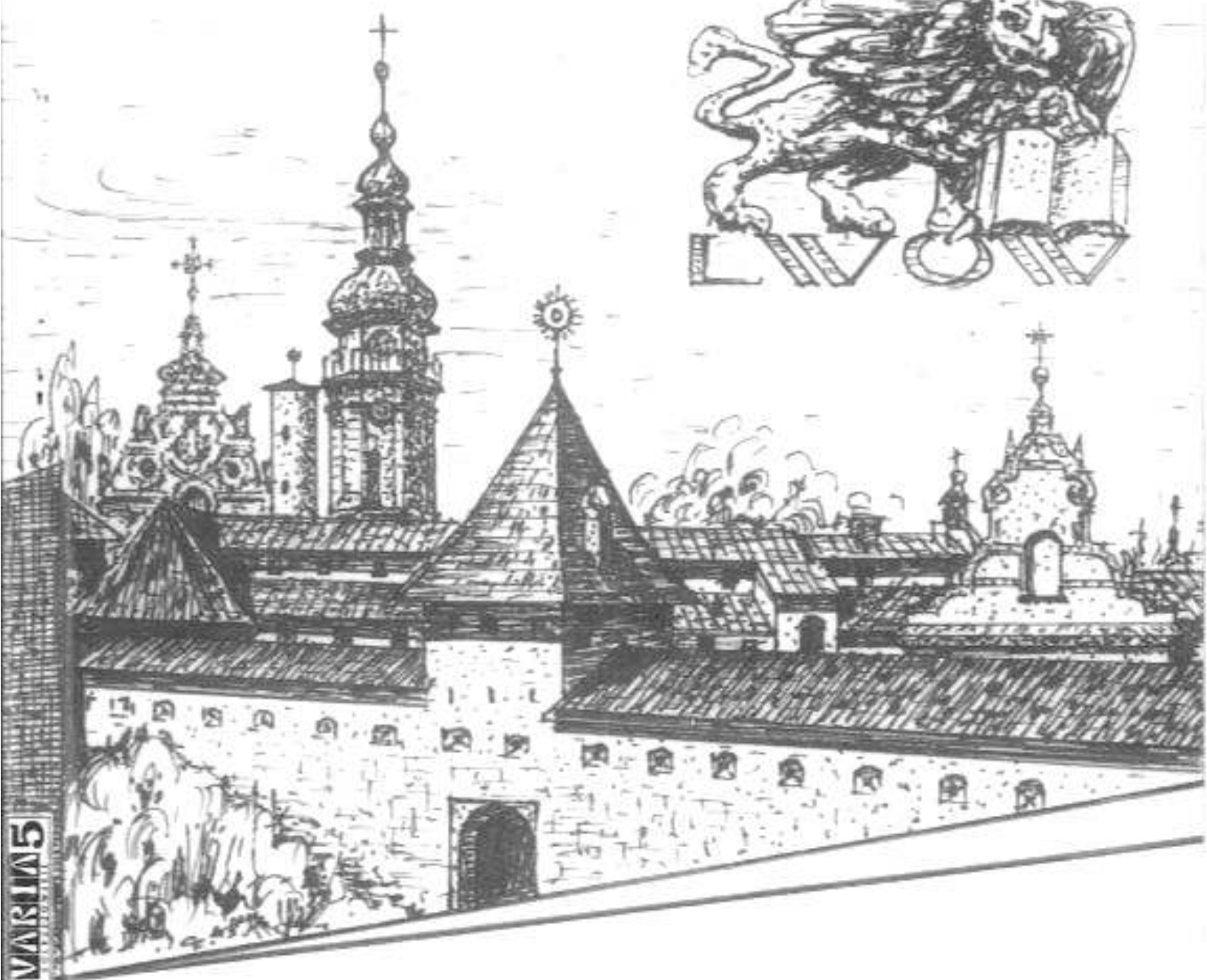


*Alicja Bober*



*Tęsknotą pisane*

SPIS TREŚCI

PAMIĘTNIK I POEZJA.....	4
TRZYNASTEGO KWIETNIA.....	7
KOLYSANKA.....	11
TĘSKNOTA .....	13
LIST .....	14
WSPOMNIENIA.....	15
WANDZI.....	16
DESZCZOWA NIEDZIELA .....	17
SŁONECZNY WIERSZ.....	19
ŚNIEG .....	20
SMUTEK .....	21
MOGIŁA .....	22
PAJĄCZEK.....	23
NOC ZIMOWA.....	24
CHATO!.....	25
OBCZYŻNA.....	27
PLACUSZEK .....	28
PIEŚŃ ZESŁAŃCÓW .....	30
LOCZEK .....	31
CHLEB.....	32
MOTYW Z KASPROWICZA .....	33
PŁYNĄ MYŚLI.....	34
STEP W POŁUDNIE.....	35
DRZEWO POLSKIE.....	36
MOJA OJCZYŻNA.....	37
"ANTOLOGIA LIRYKI POLSKIEJ" .....	39
BEZNADZIEJNOŚĆ .....	41
KRAJOBRAZY.....	42
MOJE MIASTO.....	43
ELI NA POŻEGNANIE .....	44
TWOJA PIOSENKA .....	45
TĘSKNOTĄ PISANE.....	46
MUSZĘ .....	48
CIĄGLE.....	49
SZPITAL .....	50
SŁOWAMI POEZJI.....	53
ŻOŁNIERZOWI WRZEŚNIA .....	54
MOJA MAMO .....	55

Tęsknotą pisane \_\_\_\_\_

<b>MOJEMU OJCU.....</b>	<b>62</b>
<b>NIE POTĘPIAJ.....</b>	<b>64</b>
<b>(EPILOG) PORANNE WESTCHNIENIE .....</b>	<b>67</b>

## *Pamiętnik i poezja*

Alicja Bober jest pisarką mało znaną. W czasach PRL - ze względu na tematykę, którą żyła - nie znalazła akceptacji ze strony wydawców. Jej pamiętniki z drugiej wojny światowej, choć wyróżnione ogólnopolską nagrodą i zakwalifikowane do publikacji, nie doczekały się druku. Piosenki natomiast bywają śpiewane przez zespoły dziecięce. Jednak piosenki mają to do siebie, że mało kiedy pamiętamy o autorach. Po roku 1989 kilka wierszy ogłosiła poetce prasa krajowa i polonijna. Fragmenty pamiętników Życie autorem zamieścił na swoich łamach "Aspekt", ceniąc ich walory poznawcze i fabularne. Dzięki temu łatwiej pisarce zaistnieć osobną - poetycką - książką.

Wiersze ze zbioru Tęsknotą pisane sprawiają wrażenie staroświeckich. Taka jest ich uroda. Zdają się należeć do innej epoki niż nasza. Stanowią swego rodzaju "ślady" pamięci o tym, co się działo naprawdę. Dlatego można je nazwać utworami dokumentalnymi, bądź też autobiograficznymi. Oprócz pięciu końcowych wszystkie okazują się zapisami doświadczeń autorki z lat 1940-1942. Choć znajdują się na pograniczu liryki i epiki, rzadko kiedy opowiadają o zesłaniu. Zazwyczaj prezentują nostalgię młodziutkiej wtedy autorki za krajem. Natomiast jak gdyby przy okazji jej dołę- niedołę wpisują w łańcuch zdarzeń historycznych, podtrzymując tradycję ujmowania losu sybiraka.

Do pewnego stopnia jest to zatem pamiętnik liryczny. Swoje przeżycia, doświadczenia, wrażenia ze zsyłki w głąb Rosji sowieckiej notowała Alicja Bober na gorąco, w małym notesiku, wierszem rymowanym, do którego ma rzadki dar. Dzisiaj, po latach z całą wyrazistością widać - głównie za sprawą organizacji brzmieniowej - iż bardzo często tworzyła niejako stylizacje owej poezji, którą Waław Borowy zgromadził w *Antologii* liryki polskiej. Dość wspomnieć, że jeden z wierszy Alicji Bober otrzymał ten sam tytuł, co książka Borowego. Kilka innych zaś zawiera aluzje do niej. Z wielką polską twórczością liryczną - co nietrudno zauważyć - autorka zbioru Tęsknotą pisane się identyfikowała. Mało tego, naśladowała ulubionych poetów - choćby Marię Konopnicką, Jana Kasprówicza - czerpiąc z nich siły do przetrwania. Dość często odwoływała się do owych tradycji myślenia i mówienia wierszem, jakie znała ze szkoły oraz z antologii Borowego. Oprócz Konopnickiej i Kasprówicza można je kojarzyć z typowymi wzorcami młodopolskimi i skamandryckimi.

Poezja Alicji Bober wyrasta zarówno z autorskiego doświadczenia historii, jak i z potrzeby serca. Jest bliska życiu, niczego nie musi udawać. Dokumentuje los prywatny podmiotu mówiącego, będący składową zbiorowego losu Polaków, którzy aż do drugiej wojny światowej mieszkali we Lwowie i na Kresach.

Alicja Bober urodziła się 26 marca 1922 roku we Lwowie jako najmłodsza córka Marii Emilii (z domu Szmigielskiej) i Adama Wiktora Boberów. Jest siostrą Zdzisławy Jadwigi i Ireny Marii Wandy, kurierki ZWZ w roku 1940. Uczęszczała do trzech lwowskich szkół. Mianowicie: najpierw do Szkoły Powszechnej Panien Benedyktynek Łacińskich, potem do Gimnazjum Sióstr Nazaretanek i wreszcie do Liceum Pedagogicznego. Trzynastego kwietnia 1940 roku została aresztowana i deportowana - wraz z rodzicami i ciotką Izydorą - w głąb ZSRR. Sowietnicy ukarali ją zsyłką, ponieważ była siostrą Ireny Marii Wandy, uwięzionej ósmego lutego 1940 roku za przynależność do podziemnego wojska polskiego (ZWZ). Do tych zdarzeń nawiązują wiersze: Trzynastego kwietnia, Wandzi, Nie potępiaj.

Od początku maja 1940 roku znajdowała się w Kazachstanie. Zrazu pracowała przy sianokosach i żniwach na fermie centralnej sowchozu Tas Bułak; rejon Urdżar, okręg Semipałatyńsk. Do owych doświadczeń odnoszą się utwory: Deszczowa niedziela, Słoneczny wiersz, Śnieg, Smutek, Noc zimowa, Chato, Obczyzna, Placuszek, Pieśń zesłańców, Loczek, Chleb. Od piętnastego kwietnia 1941 roku zaś wypasała owce, pracując również na polach fermi Tiki Bułak. Sześć miesięcy później rodzina Boberów dzięki własnym staraniom została przeniesiona do miasteczka Urdżar. Z tym miasteczkiem kazachskim wiążą się

wiersze: Eli na pożegnanie, Twoja piosenka. Szóstego marca 1942 roku Alicja pożegnała się z rodzicami, by wspólnie - ze zwolnioną z więzienia - siostrą Ireną Wandą oraz grupą ochotników dotrzeć do organizującego się Wojska Polskiego gen. Władysława Andersa. Piechotą - 173 km - szła z Urdżaru do najbliższej stacji kolejowej, Ajaguz. Dwudziestego ósmego marca 1942 roku zaczęła pobyt w Uzbekistanie. Tam w miasteczku Guzar została przeszkolona w Ośrodku Służby Wojskowej Kobiet. Złożyła przysięgę żołnierską (10. V. 1942 r.). Chorowała. Wiersz Szpital stanowi świadectwo cierpienia i siły ducha tułaczy. Na tym zapisy liryczne azjatyckich doświadczeń Alicji Bober się kończą.

Dodajmy wszakże, iż w czerwcu 1947 roku, Alicja Bober wróciła do Polski. Zanim to się stało, musiała przebyć długą drogę, której etapy wyznaczały Palestyna i Wielka Brytania. W Palestynie ukończyła Wojskową Szkołę Młodszych Ochotniczek, zdobywając humanistyczną maturę. W brytyjskim Edynburgu, odkomenderowana z lotnictwa, studiowała dwa lata medycynę (Polski Wydział Lekarski). Po trzyletnim pobycie w Wielkiej Brytanii zdecydowała się na wyjazd do kraju z mężem i dziewięcioletnią córeczką. Ale to już jak gdyby inna historia. Wykracza poza świat zdarzeń omawianych utworów lirycznych.

Układowi wierszy w zbiorze Tęsknotą pisane Alicja Bober nadała niejako naturalny porządek. Tom na swój sposób "odtwarza" porządek życia autorki. W części głównej - przypomnijmy - prezentuje zsyłkę. W części końcowej zaś przynosi wiersze napisane po czterech dziesiątkach lat. To: Moja Mamo (1983), Mojemu Ojcu (1984), Nie potępiaj {ok. 1988), Poranne westchnienie (1996). Dzięki nim powstaje dystans wobec zdarzeń. Porządek życia okazuje się podstawą do lirycznej syntezy. Stanowi okazję do upominania się o szacunek dla faktów oraz dla przeżyć jednostek i zbiorowości.

Publikowana książka ma przemyślaną, ramową kompozycję. Funkcję "prologu" spełnia wiersz Trzynastego kwietnia (1940). Epilogiem zaś okazuje się Poranne westchnienie, wiersz "oddalony" w czasie fabularnym o przeszło pół wieku od wiersza pierwszego. Między tak rozumianym "prologiem" a "epilogiem" rozegrał się bodaj najważniejszy etap biografii autorki, snuje się poezja; którą trzeba rozumieć jako zwierciadło życia. Za każdym razem jest to poezja wyposażona w pamięć, zakorzeniona w polskości, nade wszystko Lwowa. Świadczą o tym następujące utwory: Trzynastego kwietnia, List, Wspomnienia, Mogiła, Płyną myśli, Moje miasto, Tęsknotą pisane, Muszę, Ciągle. Zrodziły się one z przywiązania autorki do rodzinnego miasta. Są utrzymane w konwencji powszechnie zrozumiałej, niektóre romantycznej, inne zaś młodopolskokamandryckiej. Zazwyczaj mają charakter piosenek. Nie epatują czytelnika. Łatwo nawiązują z nim kontakt. Taka jest ich właściwość. Wszak autorka odwołuje się do tradycji na ogół znanych czytelnikowi. Dla ścisłości dodajmy, że liryczna twórczość Alicji Bober jest dobrze zakorzeniona w kulturze całego narodu. Świadczą o tym wspomniane odwołania do Antologii poezji polskiej Wacława Borowego.

Jeśli spojrzeć na omawiany zbiór niejako syntetycznie, można dojść do paradoksalnego wniosku. Otóż - wydaje się - mamy do czynienia z utworami nie jednej, lecz dwu różnych osób. Jedna - z początku tomu - wyraźnie staroświecka; trochę niby Konopnicka, trochę młodopolanka i zarazem skamandrytka. A druga - z końca zbioru - raczej nowoczesna; ceni prostotę wypowiedzi, nie stroni od awangardowych środków wyrazu. Tak czy owak, nigdy Alicja Bober nie rezygnuje z rymu, rytmu i średniówki. Nie lekceważy instrumentacji głoskowej. Raz wybrana tradycja jest dla niej zobowiązaniem. Stanowi wzór. Niejako upomina, że liryka ma być pieśnią. Ale też - o czym pisarka wyjątkowo mocno pamięta - musi być wypowiedzią o charakterze konsolacyjnym, bliską modlitwie.

Syntezą tak rozumianej poezji jest Poranne westchnienie, umieszczone po wierszu Nie potępiaj. Oznaczone datą "kwiecień 1996", znakomicie sumuje cały zbiorok; tak utwory pierwsze, chciałoby się rzec, dziewczęce, jak i dojrzałe, ostatnie w kolejności. Zbiór Tęsknotą pisane ma nadto epilog dodatkowy. Jest nim, pełen prostoty, wiersz nie potępiaj; nie tylko poprzez sąsiedztwo w zbiorze związany z Porannym westchnieniem. Wyróżnia się głębo-

mądrością, szacunkiem dla prawdy i siłą moralnego przesłania. Wystarczy wskazać następujący fragment wiersza:

*"Pamiętaj  
jeśli nie przeżyłeś  
nocą  
takiego wstrząsu  
że ci aresztują  
siostrę  
młodą  
za to że jest  
Polką  
nie potępiaj  
że to pamiętam"*

O znaczącej odmienności wierszy Nie potępiaj i Poranne westchnienie stanowi nade wszystko ich adres. W pierwszym jest to adres do czytelnika, w drugim - do Boga. Podmiot wiersza Nie potępiaj tłumaczy "odmiennosc" doświadczenia autorki i - siłą rzeczy - poezji. Poranne westchnienie to modlitwa. Przynosi konsolację a przy tym świadectwo mądrości, refleksję o życiu szczęśliwym, choć pełnym ogromnego cierpienia. Według Alicji Bober szczęście można dostrzec dopiero z dystansu czasu. Okazuje się wtedy tożsame z życiem spełnionym, w którym codzienność, nie tracąc swej istoty, ma rangę należną.

Gustaw Ostasz

## *Trzynastego kwietnia*

(Kazachstan, 1940 r.)

Żegnaj, miasto najdroższe!  
Żegnaj, domu rodzinny!  
Sercem drętym od bólu  
Żegnam kraj lat dziecinnych.

Późną nocą przybyli.  
Jeszcze dobrze przed wschodem.  
I do dworca nas wiozą  
Przez nasz Lwów... samochodem.

Wiozą nocą, dyskretnie.  
Wśród eskorty pod bronią.  
A współczesną "kibitkę"  
Liczne, też pełne, gonią.

Tętni miasto ich szumem  
Zolbrzymiałym wśród ciszy.  
Jęk bezgłośny serc ludzkich  
Każdy sercem swym słyszy.

Z Łyczakowa mkną wozy,  
Z Czarnieckiego, z Legionów.  
Ileż rodzin Polaków  
Wyrzucono z ich domów?



Z mroku bieżną ulice:  
Chcą zatrzymać nas w pędzie...  
Żal ci, Lwowie, swych dzieci!  
Jak nam żal ciebie będzie.

Jeszcześmy w twych objęciach,  
A już żal i tęsknota,  
Już żre rozpacz za tobą!  
Czyż... do końca żywota?

Noc pobladła od grozy:  
"Boże!... Naszych gdzieś wleką!"  
Prosto ze snu, w noc ciemną,  
Na zesłanie: daleko!

W nieporęcznym tobołku  
Pochwyconym w pośpiechu,  
Wzięło się parę rzeczy...  
Wartych płaczu i śmiechu!

W tak naiwnym tobołku  
Praca życia całego!  
Pędzisz, losie, w niewolę!  
Po co? Na co? Dlaczego?

Nad fontanną Maryja  
Zamodlona w bezruchu  
Śle nam szept niesłyszalny:  
Podtrzymanie na duchu.

Wały wyszły z za rogu,  
Plac Mariacki legł w poprzek:  
Niech tu stanie samochód!  
Niech do dworca nie dotrze!

Bo czekają pociągi  
I bydlęce wagony,  
By wygnać stąd wywieźć  
W azjatyckie gdzieś strony.



Najeżyły się srodze  
Stare lwy ratuszowe:  
"Patrz, Neptunie!  
Patrz, Diano:  
Jakie dzisiaj tu łowy!"

Noc pobladła od grozy.  
Brzask nad miastem poszarzał,  
Cieniem oczy podkreślił  
Na zasiniących nam twarzach.

Świt odsłania ulice,  
Przed sklepami kolejki.  
Nagły strach, skamieniały,  
Zastygł w ból szczery, wielki.

Oniemiały kościoły  
Dech wstrzymały dzwonnice.  
A im bliżej Grodeckiej,  
Głośnieją dudnią ulice.

Głosów ludzkich nie słysząc.  
Uwięzione drżą w krtani...  
Boże! Widzisz, a nie grzmisz?  
Lwowie! Módl się za nami!

Nocy! Nocy kwietniowa,  
Przerażeniem spowita!  
Co opowiesz historii,  
Jeśli o nas zapyta?

Dworzec jest! Czerniowiecki.  
Tłum, krzyk, wrzaski, wołania.  
Wśród nieludzkiej scenerii  
Świt się bladej wyłania.

Żegnaj, nocy upiorna!  
Tyś ostatnią we Lwowie!  
Żegnaj, miasto serdeczne!  
Tyś Ojczyzną, tyś zdrowiem.

Żegnaj mi już młodości,  
Złudne plany, nadzieje...  
I ty, śnie o miłości,  
Chyba mi nie zadniejesz.

Niby drzewo wyrwane  
Z własnej ziemi z korzeniem,  
Żyć będziemy z trudnością,  
Silni - tylko wspomnieniem.

Na zagładę skazani  
Was żegnamy w te słowa:  
"My za życia... lub ...później,  
Lecz wrócimy do Lwowa!"



## *Kołysanka*

(Łaj Bułak 2.V.1940 r.)

Śpij, synku mały, spokojnie.  
Niech omijają twój sen  
Koszmary o strasznej wojnie:  
Świst bomb, huk ruin i lęk.  
Złóż jasną główkę na ziemi...  
Siostrzyczka obok już śpi.  
Noc nas okryje stepowa  
I niech nam Polska się śni.

Śpij, synku. Masz już lat cztery,  
Prawdziwy z siebie już zuch.  
I jutro, w drodze przez góry,  
Pomagać nam będziesz mógł.  
Kres mąk w wagonie bydlęcym.  
I przebrzmiał już stukot kół.  
Tobołki złożymy na "arbę"  
I nie my pociągniemy, lecz wół.

Śpij i ty, dzielna córeczko.  
Do szkoły iść miałaś, za rok...  
Dziś ziemia zastąpi łóżeczko.  
Pod główkę weź dwoje rąk.  
Wasz tatuś nawet w więzieniu  
Wciąż modły za nas śle.  
Nie płacz, on pewnie nic nie wie,  
Jak nam dziś bardzo jest źle...

Śpijcie już, wszyscy zesłańcy,  
Niech was pokrzepi ten sen.  
Po trzech tygodniach w pociągu  
Czeka też ciężki dzień.  
Spocznijcie, nim słońko wstanie...  
Mój Boże, to już maj!  
Zacniemy jutro litanię:  
Za więźniów, nasz powrót i Kraj.



Choć ziemia obca: Kazachstan,  
Gwiazdzista, jak w Polsce noc.  
Polskiego ducha nie złamie  
Żadna zaborcza moc!

Wiatr azjatycki tak hula,  
Na zachód stepem mknie...  
Niech niesie do Kraju wołanie,  
Że serce do Lwowa się rwie.

*(Pani Ani Nowak)*

## *Tęsknota*

(Tas Bułak, V.1940 r.)

Gdy mrok otula dalekie góry,  
Cichą, wieczorną godziną,  
Z tęsknotą wszystkie myśli moje  
W dal, do Ojczyzny płyną.

I taki wielki żal mnie chwyta  
I ból bezbrzeżny ściska,  
Że tak daleko stąd ta ziemia  
Najdroższa mi i bliska.

I tak mi tęskno i tak smutno,  
Że wciąż swe serce pytam,  
Czyli w przeczuciu swoim nie wie,  
Czy kiedyś Kraj powitam?

I widzę piękną, polską wiosnę,  
Co tchnieniem życie budzi.  
I dobre, jasne, znane twarze  
Polskich, życzliwych ludzi.

I słyszę smętne te piosenki,  
Co na wsi lud nasz śpiewa.  
I widzę góry, widzę wody,  
Swe kwiatki i swe drzewa.

I to pogodne nasze niebo,  
Co się uśmiecha rzewnie.  
A Bóg - tam - z nieba żal mój widzi  
I da mi wrócić pewnie.



## *List*

(Tas Bułak, VI.1940 r.)

To samo słońeczko, co mnie - ciebie grzeje  
I swym dobrym blaskiem rozbudza nadzieje.  
Te same promyki, co mnie - ciebie gładzą,  
Więc ja je poproszę, może coś poradzą?  
Czekasz, tak daleko... list idzie miesiące...  
Niech wezmą promyki, by podać przez słońce.  
I niechaj w tym liście, co pisałam z duszy,  
Każdy dobry promyk jedną łzę osuszy...  
I poda ci list mój, który ci opowie:  
Jak tęsknię za tobą i myślę o Lwowie.

## Wspomnienia

(Tas Bułak, zima 1940 r.)

W nocy bezsennej czarne godziny  
Myśl ma ulata daleko stąd  
Za góry, rzeki, w inną część świata:  
W mały, zaciszny, dawny mój ką.

Tam wśród zieleni domek się bieli,  
Skłoniwszy czoło pod wielki dach.  
I słońko świeci i kwiaty pachną  
I roje wróbli świergoczą w bzach.

Wszędzie tak jasno i tak pogodnie...  
W powietrzu ciepły czuje się wiew.  
I niemal słyszę dawne melodie,  
Jak przebrzmiałego dzieciństwa śpiew.

I godzinami snuję wspomnienia  
Z dawnych, dalekich, minionych dni,  
Aż w końcu myślę, że to snem było,  
Który mi teraz tylko się śni.

Czar dawnych wspomnień krzepi swą siłą:  
Pomoże przetrwać, by wrócić znów!  
Choćby to nawet nierychło było,  
Powitać dom swój, powitać Lwów!



## Wandzi

(Tas Bułak 23.VI.1940 r.)

W małej, jak klatka, celi o pustych, mokrych ścianach,  
Siedzisz tak długo, długo, sama, stroskana.  
Siadasz cichutko w kącie, na twarde swe posłanie  
I patrzysz w górę, w okno, na drugiej ścianie.  
I dumasz wciąż i tęsknisz: za słońcem, za kwiatami  
I za wolnością swoją - tam - za kratami.  
I wśród tej głuchej ciszy słyszysz słowa pociechy,  
Widzisz gdzieś, poprzez ściany, dobre uśmiechy.  
Mówią ci czyjeś oczy, że martwić się nie trzeba!  
Ty patrzysz wprost przez okno: na skrawek nieba...  
Tak płyną dnie i noce w tęsknocie twej, zadumie,  
A każdy z nas tak dobrze Ciebie rozumie  
I każdy z nas myśl snuje i Tobie ją zasyła,  
By Ci mniej było smutno, byś dzielną była.  
I dziś, w Twe imieniny, dawniej pełne radości,  
Życzymy całym sercem Twojej wolności.  
I brak nam Ciebie bardzo i też dość smutków mamy,  
Więc Ci tym bardziej życzeń moc zasyłamy.





## *Deszczowa niedziela*

(Tas Bułak, dn. 6.X.1940 r.)

Deszcz pada wciąż i pada,  
Tłucze się, w okna i bije,  
Zimny, nieustępliwy,  
A wiatr bez przerwy wyje,  
Szaleje, to się miota  
Wyjść ludziom z domu nie da...  
Do okien nam zagląda  
Zmartwienie, głód i bieda.  
Sto osób w jednej izbie,  
Wszyscy razem stłoczeni:  
Każdy "mieszka" na skąnym  
Legowisku, na ziemi.  
Dalej kuchnia maleńka,  
Z jednym piecem kuchennym...  
Byle strawę uwarzyć,  
Znów przeżywasz gehennę...  
A deszcz dudni po dachu,  
A wiatr gwizdże stepowy  
A zgnębieni ludziska  
Chcą pod dach chronić głowy,  
Woda przez dach przecieka  
Do miednicy, szaflika,  
A chłód późnojesienny  
Nas do głębi przenika.  
Siedzę w kącie, na ziemi  
I słucham deszczu łkania,  
A płacz szybek okiennych  
Świat cały mi przesłania.  
Lubiłam kiedyś deszcze  
Tam, u nas, w naszym domu:  
Bo choć deszcz padał sobie,  
Nie było źle nikomu.  
Siostra smętne melodie  
Grała na fortepianie,  
A ja śledziłam z okna  
Deszczowych łez padanie.

Tam deszcz tak samo padał,  
Lecz tak inaczej było...  
Wiatr zawył jakoś tęsknie  
I bardziej się ściemniło.  
I straszna beznadziejność  
Zalała serce strugą,  
Że ani się uporać  
Z rozpaczą i szarugą.  
Tak się ponuro wlecze  
Deszczowa ta niedziela,  
Jak gdyby razem z słońcem  
Zniknęła też nadzieja...  
Deszcz pada wciąż i pada,  
Tłucze się, w okna bije,  
A w sercu mym głos jakiś  
Do wtóru z wiatrem wyje.



## *Słoneczny wiersz*

(Tas Bułak, 1.1941 r.)

Przed wami, na dywanie,  
Na kwiaty kolorowe,  
Wskoczy przez okno słońce,  
Poranne i majowe.

Promyki będą igrać,  
Tańczyć, płaść przed wami,  
Aż zapagniecie słońca:  
Pójdziecie z promykami.

Wyjdziecie, przez ulice,  
Dłoń w dłoni, równym krokiem,  
A słońce na was spojrzy  
Swym jasnym, ciepłym wzrokiem,

Bo nasze, polskie słońce,  
Tak pełne jest dobroci,  
Że zda się, iżby chciało  
Kraj cały nam wyłocić.

Pójdziecie aż za miasto,  
W rannej słońca powodzi.  
Na łąki, w stronę Krzywczyc...  
Razem, szczęśliwi, młodzi.

Wejdziecie na tę drogę,  
Co w jasność poprowadzi,  
A słońce się uśmiechnie,  
I włosy wam pogładzi,

I da wam swej pogody,  
Użyczy swej jasności.  
Zaczniecie dnie słoneczne,  
Dnie szczęścia i radości.

A wojna już przeminie!  
Z pamięci ją skreślicie!  
I przyszłość was obdarzy  
Słonecznie jasnym życiem.



## Śnieg

(Kazachstan, Tas Bułak XI.1940 r.)

Biały śnieg  
Cicho legł  
Dookoła wszędzie.  
Patrzę w dal.  
Smutno... Żal...  
I nie wiem, co będzie.

Losie, dasz  
Wrócić nam,  
Gdzie nasz kraj daleki?  
Czy już tu  
Nas do snu  
Ułożysz na wieki?

Płaski step  
Niczym stół  
Zasłany obrusem.  
Kiedyś... Tam...  
Było tak...  
Dziś wspominać muszę.

Urok świąt Bliscy w krąg  
Na stole opłatki...  
Drzewka blask...  
Kolęd czar...  
Uśmiech ojca, matki.

Siostry me  
Obie! Dwie...  
Fortepian, kantyczka...  
Świecidełka  
I szopka prześliczna...

A dziś: step,  
Wiatr i śnieg,  
Mróz w poranek śnieżny,  
Biała dal,  
Tęskny żal  
I smutek bezbrzeżny.

## *Smutek*

(Tiki Bułak V.1941 r.)

W wielkim stepie, otulonym w ciszę,  
Wiatr nieśmiało trawami poruszył.  
Słuch wyteżam, a może usłyszę  
Coś, co łązy tęsknoty mej osuszy?

Może piosnka jakaś tu zagości  
I ojczystą melodią zadźwięczy,  
Sercu memu da chwilę radości,  
Niech nie boli, nie łka już, nie jęczy!

Może słowa jakieś, pełne treści  
Tu przyplyną i zostaną ze mną,  
A po tym, co wiatr mi wyszeleści,  
Już nie będzie tak pusto, tak ciemno.

Może w ciszy usłyszę, odczuję  
Serca rytm, co rwie się w moją stronę?  
I uśmiechnąć wtedy się spróbuję  
I podniosę oczy załzawione?

Nie!... Nie serca rytm mi wiatr przywiewa,  
Nie przynosi ni głosów, ni tonów.  
Z myślą o mnie nikt ni gra, ni śpiewa...  
Nic nie słyszę, prócz cmentarnych dzwonów.



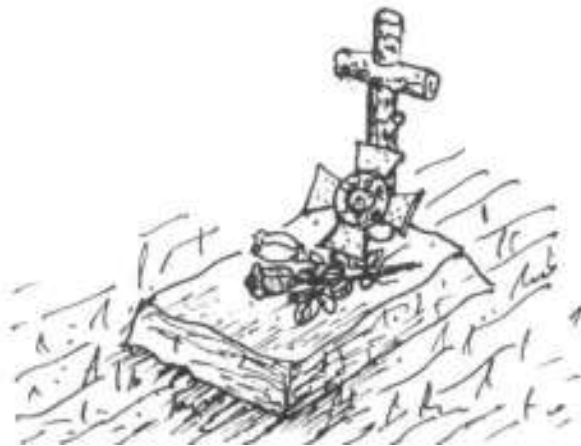
## *Mogiła*

(1940 r.)

Jak ty umierałeś, nie dzwony ci grały  
I nikt nie zapłakał nad tobą,  
Lecz nad całym Lwowem bombowce warczały  
I piekło szalało nad tobą.

Na twojej mogile łąą kwiaty zroszone,  
Łzy lśnią od promieni słońca.  
A pod krzyżem kwiaty są biało-czerwone  
I napis brzmi: "Młody obrońca..."

*(Pamięci Mietka Kusyka 1920 -1939)*



## *Pajaczek*

(Tas Bułak 1940 r.)

"Słoneczko, boże oko,  
Oko dnia bożego..."  
Ty widzisz, jak tu smutno  
I ty wiesz, dlaczego...

Ach, zamień mnie w pajaczkę!  
Czepię się twych promieni.  
A ty mnie stąd przeniesiesz  
Do mej rodzinnej ziemi.

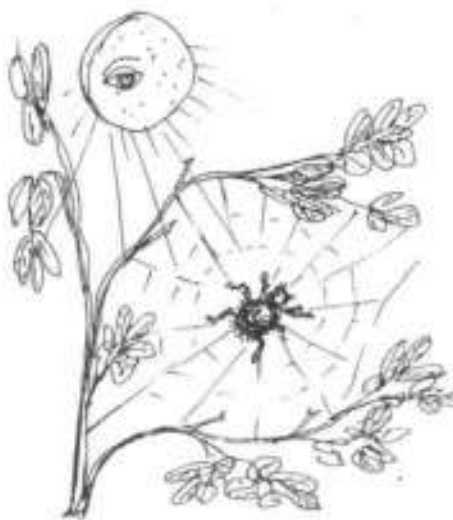
Przelecę step, nam wrogi,  
Pustynię, jeziora, rzeki  
I jeszcze dziś dolecę  
Do utęsknionej, dalekiej!

"Słoneczko, boże oko!"...  
Idziesz tam cztery godziny!  
Więc nie odmawiaj prośbie  
Tak nieszczęśliwej drobiny...

W polski wtopiony krajobraz,  
Wsluchany w ludowe pieśni,  
Niech szczęśliwy pajaczek  
Swe babie lato prześni.

Nostalgia życie wypija.  
Niedługo mi tutaj świata.  
Do swej chcę tulić się ziemi,  
Nicią babiego lata.

Ostatnie swe westchnienie  
Śląc do ciebie wysoko,  
Pożegnam cię, błogosławiąc:  
"Słoneczko, boże oko!"...



## *Noc zimowa*

(Tas Bułak 1940 r.)

Myśli moje, zbyt ulotne  
I te rymowanki!  
Wypełniają długie noce  
I ciemne poranki.

Noc kazachska serce skuła  
Zgrabiała obręczą.  
Śpi lepianka, a mieszkańcy  
Przez sen często jęczą.

Czy śni im się, że ich nocą  
Wywlekają z domów?  
Lub, że pociąg w dal ich niesie,  
Nieznana nikomu?

Czy w śnie burza ich zaskoczy  
Gdzieś, w bezkresnym stepie  
I zamiecią syberyjską  
Mróz człowiekiem trzepie?

Wiatr zawzięcie w komin dmucha  
I szatańsko wyje:  
-Kto śmie jęczeć nocą ciemną?  
Kto tam jeszcze żyje? -

-Boże, ratuj! - Czyjś głos szepcze.  
- Daj powrotu dożyć!  
Byle kości utrudzone  
W polskiej ziemi złożyć!...

Tak: niech spełnią się dni nasze  
Tam, pod polskim niebem!  
Tam nas święty Piotr powita  
I solą i chlebem!...





## *Chato!*

(Tas Bułak 1940 r.)

Chato, wioskowa chato!  
Skryta pod strzechy czapą,  
Otulona na zimę  
Słomianą zachatą!

Wiosną bielona wapnem  
Na przylot bociana,  
Latem tyś w malwy strojona,  
W jesień złotem owiana...

Chato bosej pastuszki  
Troszkę większej od gąsek...  
Chato, pełna obrazków,  
Odpustowych pamiątek.



W twoje ściany zbyt często  
Trud się krył i zmęczenie.  
W oczy małych okienek  
Zagłądały złe cienie...

Chatko biedna i prosta,  
Tak jak lud twój ubogi!  
Jasne szczęście zbyt rzadko  
Wstępowało w twe progi...

Przed twym progiem, ze studni,  
Żuraw czerpie cud — wodę,  
Pod okapem jaskółki  
Latem wróżą pogodę,

A na płocie, dokoła  
Śpią brzuchate gliniaki.  
Pod podbiałem kokoszka  
Wysiaduje kurczaki.

Chato z sadem drzew starych,  
Chato, z małym podwórkiem,  
Z szarym kotem na progu,  
Z budą psią, no i z Burkiem.

Chato, rzewny widoczku,  
Z wierzbą tuż przy strumyku!  
W medalionie mych wspomnień  
Noszę cię, jak w skarbczyku...

Byłaś domem biedoty...  
Dziś - pałacem się zdajesz  
Niedościgłym marzeniem,  
Snem tęsknoty za Krajem...

Mowy polskiej kolebko,  
Z swą tradycją bogatą...  
Chato, wiary ostojo!  
Biała polska chato!

## Obczyzna

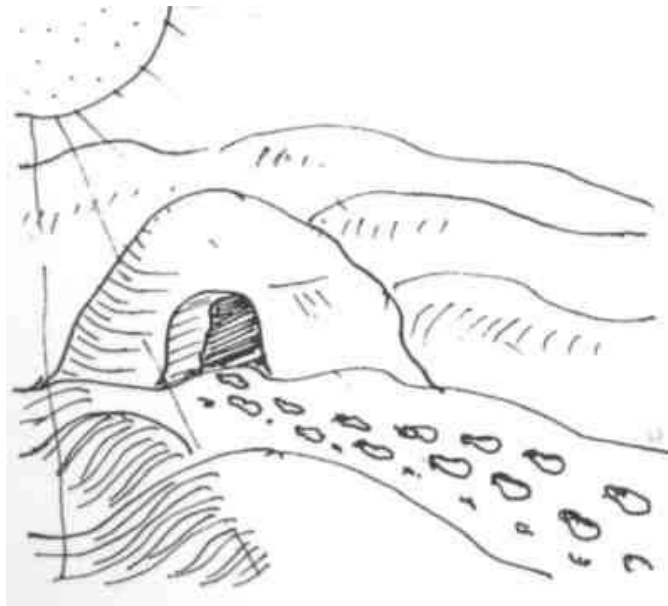
(Tas Bułak 1940 r.)

Słońce nas tu wykańcza, stepowe.  
Wiatry dach nam zdzierają znad głowy,  
Śnieg chce żywcem pogrzebać w tej ziemi!  
Latem tutaj i zimą... giniemy!

U nas, w Polsce, każdy słonkiem się cieszył,  
Bo tam słońce nie dobija, lecz leczy.  
Wiatr deszcz niesie i nasiona rozsiewa,  
Zaś śnieg puchem ziemię - matkę ogrzewa.

Tak... Tam, w Kraju, wszystko inaczej!  
Tak się pragnie powrócić, zobaczyć!  
Bo dopiero tutaj obczyzna  
Dała poznać nam treść słowa: "Ojczyzna"!

Tyle serca, bogactwa w tym słowie,  
Że jest droższe, niż skarby, niż zdrowie...  
A żyć bez niej trudno: tak właśnie,  
Jak starcowi, gdy mu nagle wzrok zgaśnie...



## *Placuszek*

(Tas Bułak, 1941 r.)

Rozsadzą głowę  
Myśli grobowe.  
Tłoczą się tłumnie, natrętne.  
Chmury gradowe,  
Wichry stepowe,  
Chłodne i głodne i wstrętne.

Kropla zwątpienia  
W rozpacz się zmienia,  
Choć serce nie chce jej słuchać...  
Ludzkie plewienia  
W hieny zmienia  
Wojenna zawierucha!

Człek człowiekowi,  
Jak wróg wrogowi,  
Najsroższym jest chyba katem!  
Gdzież te zasady,  
Co dają rady,  
By bliźni bliźniemu był bratem?

Tu nawet dziecko  
Można zdradziecko  
Oszukać na okruch chleba!  
Każdy w potrzebie:  
"Wszystko dla siebie!"  
O, czasy! O, ludzie! O, nieba!

Już nie jest w stanie  
Żadne wołanie  
Poprawić coś, czy odmienić...  
Gorycz zaleje  
Wiare, nadzieję,  
Pośród serc: twardych kamieni!

Gdy w myślach biadam,  
Matyldzia wpada  
Z uśmiechem i z weselem.  
"Dwa placki miałam!  
Jeden schowałam!  
Macie! Zawołaj Ełę!"

I drobną ręką  
W kieszonkę sięga.  
Placek, czy serce na dłoni?  
Dobra dziewczuszka!  
Jej dar placuszka  
Od wszystkich zwątpień mnie broni.

*(Matyldzi Kierepce)*

## *Pieśń zesłańców*

(Tas Bułak 1940 r.)

Dzień za dniem szybko mija,  
Prędko ucieka czas,  
A my wciąż w tej krainie,  
Gdzie zły los rzucił nas.  
Chcemy wrócić najprędzej  
Do ziemi swej, do miast!  
I nie oglądać więcej  
Czerwonych flag i gwiazd.

O, Tas Bułaku! O, Sigisbaju!  
Jak nam tu ciężko i smutno żyć!  
Chcemy najprędzej wrócić do Kraju,  
Lecz o powrocie nam ani śnić!

Słońce pali nas latem,  
Zimą gnębi nas mróz.  
O każdej porze roku  
Doskwiera straszny głód.  
Lecz wciąż walczymy z losem!  
I nie poddamy się.  
Duch przecież w nas ochoczy,  
Choć ciało nader mdłe.

O, Tas Bułaku! O, Sigisbaju!  
Nie damy, by nas wchłonał step!  
Dopomóż, Panie, wrócić do Kraju!  
Wysłuchaj polskich błagań zew!

Choć w pracy niewolniczej  
Tracimy resztki sił  
Będziemy Polakami!  
"Do krwi ostatniej kropli żył".  
I nic nas nie odmieni,  
Bo zachowamy twarz!  
Wrócimy do swej ziemi!  
Tak nam dopomóż, Ojczy nasz!

O Tas Bułaku! O, Sigisbaju!  
Zesłanie minie, jak zły sen!  
I powrócimy wszyscy do Kraju!  
Nadejdzie kiedyś taki dzień!

## *Loczek*

(Tiki Bułak, V. 1941 r.)

Loczku czarny, loczku kędzierzawy!  
Lwowski wietrzyk lubił brać cię w płąs.  
Ja cię, loczku, też strasznie lubiłam,  
Lecz się przyznać nie śmiałabym wciąż.

Stepie szary, kazachstański stepie!  
Więzisz nas tu. Tak daleko Lwów!  
A tam wietrzyk igra z czarnym loczkiem,  
Lecz nie ujrzę tego nigdy znów!

O, młodości! Smutnaś na zesłaniu,  
Gdzie luksusem jest powszedni chleb...  
Głód, samotność, żar, step, stado owiec,  
Łzy tłumiące nieskończony śpiew...

Chłopcze miły, chłopcze mój daleki!  
Dzieli nas czas, dzieli ziemi szmat!  
Łatwiej by mi zamknąć tu powieki,  
Gdyby wiedzieć, żeś mi też był rad...

## *Chleb*

(Tas Bułak 1940 r.)

Śnił mi się w nocy cały bochen chleba!  
I byłam taka szczęśliwa!  
Mama krzyż na nim zakresliła nożem,  
Tak, jak na jawie to bywa.  
Bez drżenia ręki odkroiła sporą,  
Pachnącą, chrupiącą piętke  
I żartowała przy kromkach bielutkich,  
Że pewnie na wszystkie mam chętkę.

A siedzieliśmy, jak dawniej, przy stole!  
Działo się więc to tam, w domu.  
Nikt się nie martwił, że chleba nie starczy...  
I nie zabrakło nikomu!  
A choć się jadło bez smarowania,  
Lecz z nabożeństwem; do woli!  
I momentalnie całkiem zapomniałam,  
Co to głód znaczy, jak boli.

Śnił mi się w nocy bochen chleba, cały!  
Chleb polski, najlepszy w świecie.  
Pachnący taki, tak smaczny i... własny!  
Jak tylko we śnie się plecie.  
Wtem mnie chłód zbudził, śpiącą na polepie,  
Zdrętwiałą z zimna nocnego  
I szepł mej mamy, zwiniętej pod płaszczem:  
"Daj, Panie, chleba naszego..."

O, daj nam, Panie, chleba powszedniego,  
Lub choć snów takich, najwięcej!  
Niechaj sny krzepią nasze nikłe siły,  
Hart ducha, słabnących w nędzy!  
Dodawaj mocy, by dotrzeć, doczekać  
Tego, co bardziej, niż chleba,  
Wszystkim zesłańcom i rodakom w kraju  
I Polsce - by istnieć - potrzeba!

Śnił mi się w nocy chleba cały bochen...  
Niechaj znów jeszcze się przyśni!  
Niech z nami będzie, niech nas nie omija,  
Gdy trudno skreślić go z myśli.  
Śnił mi się w nocy bochen chleba, świeży,  
Że nas sytością napełniał.  
I był dzielony wszystkim, jak należy.  
A czasem... sen się spełnia!



## *Motyw z Kasprowicza*

(Tas Bułak 1941 r.)

"Chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach"

"Tą samą" idą "drogą",

Prosto do kościółka,

Gdzie szereg świętych pańskich,

O natchnionych twarzach,

Błogosławi modlitwom

Wiernych u ołtarza.

Pod dzwonnica uczepiony,

Z grubym sznurem w dłoni,

Stary dzwonnik dzwon kołysze

I dzwoni i dzwoni...

Zasłuchały się topole

I wierzby przydrożne

W tym dzwonieniu dźwięcznych dzwonów,

W melodii nabożnej.

Bieg wstrzymały szybkie wiatry,

Przystanąły w pędzie.

Roztańczyły się motyle

Wśród kwiatów na grzędzie.

Nad strumykiem rosochate

Wierzby swe łby chylą.

Rozmodliły się szeptliwie,

Urzeczone chwilą...

Chaty rzędem przycupnęły

W drodze do kościółka,

A dzwonienie płynie do nich,

Po piaszczystych wzgórkach.

Krzyż przydrożny opiekuńczo

Wyciąga ramiona...

A westchnienia płyną w niebo,

Wygrane na dzwonach...

Taki motyw w sercu noszę,

Tęsknotą skreślony...

Oby jeszcze kiedyś w życiu

Usłyszeć te dzwony!

## *Płyną myśli*

(Tiki Bułak 1941 r.)

Płyną myśli moje  
O słońca zachodzie  
Za słońkiem, na zachód,  
Tam, gdzie ono schodzi.  
Płyną myśli moje  
Nieprzebraną rzeką.  
Niosą morze tęsknot  
Daleko, daleko.  
Płyną ponad stepem  
Pustym, złym, okrutnym  
I nie jest im lekko  
W zamyśleniu smutnym.  
Myśli zadumane  
I niedomyślane,  
Niosą w dal wspomnienia  
Lat niezapomnianych.  
Wyrwane z serca,  
Wydarte wprost z duszy,  
Płyną kłęby myśli,  
Pełne różnych wzruszeń.  
Step śpi martwą ciszą,  
Co aż w uszach dzwoni...  
Choćby się wiatr zerwał,  
Myśli nie dogoni.  
Żar ich nie zatrzyma,  
Ni głusza stepowa,  
Gdy tak myśli płyną  
Do mojego Lwowa...  
To serdeczne imię,  
To serdeczne miasto.  
Tam płyną me myśli,  
Nim na wiek tu zasną.  
Płyną myśli, płyną,  
Daleko, do Lwowa,  
Nim je step milczący  
W swej głębi pochowa...  
Płyną myśli moje,  
Podniebne, po niebie,  
Do Ciebie, me miasto  
Najdroższe, do Ciebie!

## *Step w południe*

(Tiki Bułak, maj, 1941 r.)

Słońce trawy wypaliło,  
W skwarze omdlał step.  
Owce kaszląc, szczypią ziemię...  
Zgasł piosenki śpiew.  
    Dokądkolwiek okiem sięgnąć,  
    Wszędzie pustka w krąg!  
    Nie ma świadków, oprócz Boga,  
    Mych przyziemnych mąk...  
Żar się praży bezlitosny!  
Piersiom braknie tchu...  
W oczach szary step wiruje.  
Trzewia szarpie głód...  
    Przystanęły chore owce.  
    W tak upalny dzień,  
    Tuląc się, stanęły murem,  
    Kryją swe łby w cień.  
Jedna drugiej go użycza,  
Chowa łeb pod brzuch.  
Solidarne instynktownie!  
Powstrzymały ruch.  
    Za godzinę przyjdzie pora:  
    Czas z powrotem iść,  
    By o zmroku, z (głodnym!) stadem  
    Znów na fermę przyjść.  
I wyciągnąć się, na glinie...  
(Dadzą pluskwy spać?)  
Przecież trzeba będzie jutro  
Znów przed brzaskiem gnać!  
    Brak tym rymom wdzięku wiersza.  
    Skąd by się wziął czar?  
    Słońce leje się wprost z nieba,  
    Jak piekielny żar!  
Wiekiem wloką się godziny  
U zbolałych nóg,  
Nim opuchłe się dowloką  
Na lepianki próg.  
    Drżą Matczyne ręce, puste.  
    Gdzieżby chleb, skąd sól?  
    "Wiesz, mam wrzątek... Wypijemy!"  
    Przeżykamy ból.  
Patrzą oczy, głodne oczy  
Z zatroskanych lic...  
Boże ratuj! Co poradzić?  
Nie ma nic! nic, Nic.

## *Drzewo polskie*

(Tiki Bułak 1941 r.)

Drzewo polskie, drzewo!  
Żywe we wspomnieniu!  
Jak dobrze by było  
Znaleźć się w twym cieniu!

Na chropawą korę  
Kłaść swe obie dłonie,  
Rozpaloną głowę  
W twym zaciszu chronić,

Czcić wzniesione w niebo  
Konarów ramiona,  
Z gałązek utkaną  
Podniebną koronę.

Wsluchać się, jak szepczesz  
Tajemnie, srebrzyście.  
I wiosną nabrzmiałe  
Witać pierwsze liście.

Drzewo polskie, drzewo!  
Czyś brzozą, czy gruszą,  
Sama myśl o tobie  
Tęsknoty porusza.

Arcy-cud natury!  
Żywy od stuleci.  
Z tych bezdrzewnych stepów  
Do ciebie myśl leci.

Do ciebie tęsknoty,  
O tobie marzenia,  
By spocząć na wieki  
Tam, u twego cienia.

Czy jeszcze cię ujrzę?  
Czy szum twój usłyszę?  
Czy będziesz strażnikiem  
Mojej wiecznej ciszy?

Drzewo polskie, drzewo!

## Moja Ojczyzna

(Urdzar, zima 1941 r.)

Moja Ojczyzna  
Jest tak daleko.  
Za siódmą górą,  
Za siódmą rzeką,  
Za siódmym lasem,  
Za siódmym morzem...  
I tak mi do niej  
Tęskno, mój Boże!

Jest tak daleko: stąd  
Na zachodzie!  
O powrót do niej  
Modlę się co dzień.  
I choć nas od niej  
Lata już dzielą,  
Zawsze zostanie  
Naszą nadzieją.

Moja Ojczyzna  
Jest za Uralem!  
I myślę o niej  
Z bólem i z żalem.  
Wciąż ją wspominam,  
Stale pamiętani:  
Moja jedyna,  
Najlepsza, święta!

"Moja Ojczyzna"  
To takie słowa,  
Które wzruszają  
Ciągłe od nowa,  
Które z szacunkiem,  
Z rzadka, się szepcze,  
Bo przepelniają  
Stęsknione serce.

Moja Ojczyzna,  
Choć jest wspomnieniem,  
To kompas życia,  
Cel i dążenie.  
To mój rodowód  
Z dziada, pradziada.  
Moja tęsknota,  
Moja nostalgia...



Wiosną się stroi  
Jabłoni kwiatem...  
Złoci od łąków  
Cudownym latem.  
Jesienią plonem  
Hojnie obdarzy,  
Zimą się gwiazdką  
Nad domem żarzy.

Ludzie przyjaźni są  
I życzliwi.  
Każdy pomoże,  
Gdyś nieszczęśliwy,  
Gotów się dzielić  
Sercem i chlebem  
Tylko tam, u nas:  
Pod polskim niebem.

Tylko w Ojczyźnie  
Jestem "u siebie",  
Gdzie dłoń pomocną  
Znajdziesz w potrzebie,  
Gdzie nie zabraknie  
Mych chętnych dłoni,  
Jeśli się uda  
Powrócić do niej...

Ojczyzno moja!  
Módl się za nami!  
Giniemy w stepach  
Tobie wyrwani.  
Chorzy z tęsknoty,  
Głodni... u wroga...  
O twoją wolność  
Błagając Boga.

## *"Antologia liryki polskiej"*

(Tiki Bułak, 1941 r.)

Wodę dźwiga się z rzeki,  
I Która w stepie zastygła.  
Sól... jest... jeśli zdobędziesz  
Kradzioną (z karmy bydła).

Jak wznieść się nad codzienność?  
Utrzymać ducha w niebiosach,  
Jadając raz na dobę,  
Drobinę... łuski z prosa?

Chleb śni się dniem i nocą...  
Śnionym zapachem wwierca  
Do mózgu, że aż boli,  
Jak skowyczące serce.

I jak tu żyć poezją?  
Jak wiersze pisać jeszcze,  
W mrowiu zażartych pluskiew,  
Wśród wszy i pcheł, i kleszczy?

Z czym jeszcze przyjdzie walczyć?  
Co jeszcze nas tu czeka?  
I jak tu się ratować?  
W poezji świat uciekać?

A jednak Borowego  
Ta cudna "Antologia"  
Za chleb mi jest, sól, wodę  
I za nic jej nie oddam.

Śpiewa ojczystym wierszem!  
I jest wprost wodą życia.  
Choć znam niemal na pamięć,  
Wciąż darzy czymś, zachwyca.

Bledną nędze, maleją:  
Głód, ból, mróz. Wszystko minie,  
Skoro żyje poezja,  
Która nigdy nie zginie!

Już nieważna dzisiejsza  
Zła codzienność człowieka...  
Nie czas grzęznąć w rozpacz,  
Przecież przyszłość nas czeka!

Fraszka smutki i troski!  
Kto by o nich pamiętał,  
Gdy przemawia poezja  
Swoją siłą zaklętą!

Rdzennie polska, liryczna,  
Całym sercem nas krzepi!  
To głos naszej Ojczyzny:  
Nie da zginąć nam w stepie!

Jest nam tu za drogowskaz,  
Jak dalekie posłanie,  
Że się ugiąć nie wolno,  
Lecz przetrzymać zesłanie!

Być może, po latach... wielu...  
Ktoś spyta: "Jak toście przeszli?"  
Czy pojmie, że nas ratował  
Tomik polskiej poezji?

Że głodnym, biednym, steranym,  
Na skraju bycia - niebycia,  
Serdeczny tom "Liryki"  
Powracał impuls życia...

Ślę tysiąc błogosławieństw  
Z tragicznej naszej oddali,  
Tym, którzy taką książkę  
Do Kazachstanu przysłali.

*(Lolkowi Sawkiewiczowi)*



## *Beznadziejność*

(Tiki Bułak 1941 r.)

Bezkresny step wichrowe łka nam pieśni.  
Bezbrzeżny żal w bezgrzeszny wraca świat.  
Bezsilna myśl minione lata pieści.  
W bezduszną noc bezdenny smutek wpadł.

Bezduśny los wśród obcych, bezlitosnych,  
Bezsilny tak w kość daje, jeszcze kpi!  
Bezcynnym rękom żal traconych godzin.  
Bezdomnym ludziom dom się własny śni:

Był kiedyś biały dom!  
Była kiedyś cała rodzina...  
Zwyczajne życie zwyczajnych ludzi.  
Dziś to jak baśń wspominam:  
Ogród warzywny, kwiaty, motyle,  
Uśmiech rodziców, śmiechy dziecięce...  
Zwyczajne życie. Nie trzeba więcej:  
Niedostrzegane to było szczęście.

Teraz to się rozumie...  
Dopiero teraz docenia,  
Gdy bezpowrotnie minęło.  
Gdy już go nie ma...  
Było zwyczajnie, normalnie,  
Bezpiecznie...  
Kto sobie zdawał sprawę,  
Że mogłoby być inaczej?  
Że tak nie musi być  
Wiecznie?

Przez beznadziejny step  
Wiatr bezustannie gna.  
A serce jest bezbronne  
I łka,  
Bezgłośnie łka...

## *Krajobrazy*

Gdybym umiała malować tak pięknie,  
Tak właśnie pięknie, jak cały świat widzę,  
Wciąż malowałabym barwami tęczy  
Moją Ojczyznę.

Swojskie krajobrazy, strojne w polskie drzewa,  
Drzewa ukochane, najpiękniejsze w świecie:  
Zimą wysrebrzone całą gamą bieli,  
W odcieniach zieleni w lecie.

Małe, wiejskie chaty, pod wysoką strzechą,  
Przy nich smukłe malwy, czerwone, różowe,  
A nad płotem wielkie, dumnych słoneczników  
Promienne głowy.

W podwórku studzienka, kilka kur i kogut,  
Buda psa — kundelka, który chaty strzeże...  
Dalej wiejska droga, nad nią krzyż przydrożny,  
Wysłuchany w pacierze.

W wyłożonym polu śmieszny strach na wróble,  
W wielkim kapeluszu, zsuniętym na czoło.  
Nad rzeką młyn wodny wśród wierzb siwiejących  
I młyńskie koło.

Kręci się wytrwale, mozolnie obraca,  
Aż się woda perli, aż się woda pieni  
I srebrem zabłyśnie i tęczą zaśpiewa  
W blasku promieni.

Zieleń łąk soczystych, pełnych dzikich kwiatów  
I pól szachownice, złotem powleczone...  
Łany kartofliska, błękit lnu w rozkwicie,  
W długich zagonach.

Ludzi utrudzonych swą codzienną pracą,  
Gdybym potrafiła - chciałabym malować.  
Oddałabym- piękno, którego nie zdołam  
Wyrazić w słowach.

Taka piękna ziemia, o tylu kolorach!  
Niepodobna w niczym stepowej, szarzyźnie.  
Liliową zadumą snuje się tęsknota  
Ku mej Ojczyźnie!

## *Moje miasto*

Moje najdroższe miasto:

Niepowtarzalny Lwów.

Kraina lat dziecięcych,

Młodzieńczych snów i złud.

I polska wieś daleka,

Wtopiona w łany pól,

Są pieśnią mojej duszy,

Którą wyśpiewał ból.

Miasto jedyne w świecie,

Jak długi cały świat,

Gdzie człek człekowi sercem,

Gdzie człek człekowi: brat.

Ostatnią da koszulę,

Ostami dzieli kęs.

I własnym sercem dźwignie,

Choćby z najgorszych klęsk.

Teraz tam w każdym domu

Kogoś bliskiego brak.

Wichura nas wojenna

Porozpędzała w świat.

Lecz się nie damy złamać!

Lwowski w nas przecież duch!

Choćby na krańcach świata,

W pamięci żyje Lwów!

Ta miłość przewycięży

Wojennych losów krąg.

I powrócimy wszyscy!

Zewsząd... i ...nawet stąd!

Zlecimy się do Lwowa,

Ze wszystkich świata stron,

Bo to nasza ojczyzna:

Lwów - nasz rodzinny dom!

## *Eli na pożegnanie*

(Urdzar, marzec 1942 r.)

W szare godziny, w długie wieczory,  
Gdy dusza mrokiem i smutkiem wezbrała,  
A serce pełne było tęsknoty.  
Tyś śpiewać zaczynała.

I swoją piosnką wnet opanowałaś  
Smutne me serce i duszę mą rzewną,  
Że wnet me myśli już w inny tor biegły,  
Z twoją melodią śpiewną.

W ciemne godziny, w puste wieczory  
Wsiąkały ciche, jasne, dobre dźwięki  
I napępniały duszę melodią  
Pogodnej twej piosenki.

## *Twoja piosenka*

(Urdzar, marzec 1942 r.)

Twoja piosenka umiała płakać,  
Gdy sercu było żałośnie.  
I twoja piosenka uśmiech swój miała,  
Umiała śmiać się radośnie.

Twoja piosenka lubiła tony  
Zawsze tak pełne pogody.  
Twoja piosenka, nowa czy stara,  
Nigdy nie wyjdzie z mody.

Twoja piosenka, twoja piosenka,  
Z serca początek brała.  
Twoja piosenka, twoja piosenka  
Do serca mego trafiała.

*(Eli Wojciechowskiej)*

## *Tęsknotą pisane*

(Tiki Bułak, 1941 r.)

Tęsknotą pisane wierszyki,  
Więc bólem nabrzmiały w nich słowa.  
Los poprzestawiał mi szyki  
I żywcem wyrwał ze Lwowa,  
A tam był cały mój świat  
Dziecięcych lat.

I żyję wciąż wspomnieniami,  
Aby nie pierzchły, nie zbladły,  
Choć tamta przeszłość za nami  
I człowiek całkiem bezradny  
I tak daleko nasz dom...  
Rodzinny dom.

Powtarzam sobie w pamięci  
Ulice znajomych dzielnic,  
Trasy czerwonych tramwajów,  
Wystrój rynkowych kamienic  
I lwowskich dzwonów śpiew  
Daleki zew.

Wierszyki tęsknotą pisane  
Z serca na kartę spływają.  
To miasto niezapomniane,  
Ta częśćka mojego kraju,  
To był serdeczny nasz kraj  
Ojczysty kraj.

Tęsknota rymami dzwoni,  
Drogę nam wskazywać gotowa,  
Aby jej tropem pogonić,  
Natychmiast wracać do Lwowa,  
Tak, jak za dawnych dni,  
Młodości dni.

Rymami tęsknota się splata

I przeszłość wraca uparcie  
Pod ratusz, gdzie lwy ratuszowe  
Wytrwale stoją na warcie  
A zegar odmierza czas  
I wzywa nas.

Wierszyki pisane tęsknotą

Miały być w smutku balsamem.  
Bo droższe niż srebro i złoto  
Jest dla nas miasto kochane:  
Gród Lwowskich Orłąt i Lwów,  
Najdroższy Lwów.

## *Muszę*

(1942 r.)

Wiem, że skądś muszę zaczerpnąć siły.  
Z modlitwy, z marzeń, choćby ze snów,  
By nas trudności nie zwyciężyły.  
O byt mam walczyć, by wrócić znów,

Niech echo wspomnień krzepi mnie siłą,  
Pomoże przetrwać, by ujrzeć znów  
(Choćby to nawet nierychło było)  
Powitać dom swój, bliskich i Lwów.



## *Ciągle*

(1942 r.)

Ciągle te same tematy,  
Najczęściej te same słowa.  
Ciągle ta sama nostalgia  
Do jedyne Lwowa.

Ciągle te same rozmowy,  
Zwątpienia i nadzieje,  
Dyskusje o dniu wolności,  
Pytania, czy zadnieje?

Marzenia wciąż te same,  
Wciąż niezatarte wspomnienia  
Te same modły i myśli...  
I wciąż twe imię odmieniam.



## *Szpital*

(Uzbekistan, Guzar, VI.1942 r.)

W jasnych, obszernych salach  
Szeregi białych łóżek.  
Spokój i cisza kojąca,  
Dla ludzkich cierpień szacunek.  
Lekarz często przychodzi,  
Uważnie bada pacjenta.  
Szarytka zmieni bandażę,  
Podmyje - uśmiechnięta,  
Tu nakarmi słabnących,  
Tam podsunie basen.  
Ścieli podkład i leki  
Troskliwie poda o czasie.  
Bóle mają swą rangę.  
Swą godność ma cierpienie.  
Ordynator rokuje  
Rychle wyzdrowienie.  
Lekarstwo, czystość, cisza,  
Cierpliwość i powaga  
Podtrzymują nadzieję  
I to chorym pomaga.  
Nieraz tu zajdzie z wizytą  
Ktoś z przyjaciół, z rodziny,  
Dobłą książkę przyniesie  
I najświeższe nowiny.  
Szpital - oaza spokoju.  
Ratunek w chorobie, opieka...  
To było kiedyś: przed wojną...  
Zamierzchna przeszłość, daleka...

Kiedyś naprawdę tak było!  
W tamtej, minionej epoce.  
Dziś szpital chorych lokuje  
Na glinie przykrytej kocem.  
Biedne, zbolale ciała!

Na jednym kocu - kilkoro!  
Cisną się i gniotą  
We czworo i w pięcioro.  
Umęczone wzajemnie  
W ciasnocie się duszą i pocą  
I po ciemku nie widzą,  
Kto tu umiera nocą.  
Dopiero brzask odsłania.  
Jak ta noc była okrutna,  
Gdzie się miejsce zwolniło,  
By nowe ciało upchać.  
Tu nie ma wzniosłości cierpień.  
Męczarnie są bez patosu...  
Są muchy, wszy, smród, nędza,  
Rozpacz nieludzkich losów...  
Łyse już po tyfusie.  
Półżywe ze zmęczenia,  
Licznie chorują siostry,  
A nikt ich nie zmienia.  
Tyfus, biegunka, czerwotka,  
Malaria, pelagra, dur brzuszny,  
Żółtaczką, papatacz, szkorbut...  
Nie wystarcza dyżurnych!  
Cóż to nie w rymy się płacze?  
To zaprzeczenie poezji!  
Tragiczne epidemie  
Niosą kres egzystencji.  
Sanitariuszki bezsilne  
Nie nadążają z basenem!  
Harówka ich, walka z brudem  
Nadludzkim są poświęceniem.  
Brak miejsc w korytarzach.  
Zbyt mała na szpital ta szkoła.  
Już w klasach według chorób  
Segregować nie zdoła.  
Lekarzy dwóch - na tę ciżbę!  
Za mało leków, żywności... –  
Mała Ewunia kona!  
Siostro! Ratunku!... Litości! -

- Nie krzycz! Obudzisz dzieci!  
Jej już nic nie pomoże...  
-O, Panie! Spójrz na biedactwo!  
Ulituj się, dobry Boże!  
A w nocy mały Janek  
Martwy padł na mych nogach!  
Niechaj śmierć tych niewinnych  
Zakołacze do Boga!  
Tych cierpiących, pokotem!  
Tyle walk o przetrwanie...  
Ileż to mil od Polski?  
Tak zakończą zesłanie?  
Kilka fur plonu śmierci  
Co dzień za miasto podąża  
Przykrytych prześcieradłem  
Od ludzkich oczu i słońca.  
Nadszedł ksiądz z Panem Bogiem.  
Klęka między ciałami.  
Rozgrzesza i błogosławi  
I modli się razem z nami.  
Bezbronnym broń daje: hostię,  
Nadziejom ożyć pozwala.  
Że przecież nam Nieba pomogą  
W opuszczeniu szpitala.  
Szpital. Miejsce nadziei,  
Wysiłków, by życie ocalić.  
Ratunek dla wielu istnień.  
Jeden z dwóch naszych szpitali.  
Czasem mam jednak wrażenie,  
Że to przedśmiatek piekła.  
I chyba cud może sprawić,  
Bym z życiem stąd uciekła.

## *Słowami poezji*

(Tiki Bułak 1941 r.)

Słowami poezji polskiej  
Modłę się wciąż i modłę.  
Wychodząc przed brzaskiem do pracy  
Zabieram swą "Antologię"  
I pasąc stado owiec  
W bezkresnym stepie, samotnie,  
Uciekam myślą z tej ziemi,  
Bo tu jest zbyt okropnie.

Marzenie mnie unosi  
W krajobraz pisany pieśnią  
I niech te sny na jawie  
Nie kończą się, nie prześnią,  
Gdyż mnie poezja dźwiga,  
Urzeka polską mową  
I chłonę wciąż spragniona  
I pieszczę każde słowo.

Zbroję się przed szarżyzną,  
Chroni mnie na kształt tarczy.  
Jest walką o Ojczyznę,  
Więc walczę, ile sił starczy.  
Poezja - ratunek w tęsknocie,  
Odskokcznia od spraw przyziemnych  
I w zły czas głodu i chłodu  
Szansa lotów podniebnych.

Jest ciepłem przyjaznej dłoni...  
A śpiewna, jak melodia,  
Przynosi ukojenie,  
Drobinę szczęścia co dnia.  
Zgubiwszy słowa pacierza,  
Wyciągam "Antologię",  
Słowami poezji polskiej  
Do Boga o Polskę się modłę.

## *Żołnierzowi Września*

Kiedyś defiladą przechodził przez miasto,  
W wizje przyszłej wojny kierując swój wzrok,  
Tłumy cię witały, kwiaty i uśmiechy  
I serca rytmiczne, jak żołnierski krok.

"Chłopcy malowani", szliście w bój z piosenką!  
W przedwrześniowym słońcu srebrzyła się stal.  
Z werwą zawadiacką i z śmiercią pod rękę.  
Znów: "na pola chwały" - młodzież - jak na bal!

"Jak to na wojence!..."  
Huczała piosenka.  
W takt do niej koniki stukały o bruk.  
Trębacz, proporczyki, szabelki u boku.  
A naprzeciw czołgi i bomby i wróg!

"Wojenko, wojenko! Cóżes ty za pani?..."  
Że armię zdmuchnęłaś w kilkanaście dni?  
Wojsko rozproszone, żołnierze - bezbronni  
-Ci, co nie szczydzili ni życia, ni krwi.

Lecz się nie ugiąłeś, ty, polski żołnierzu!  
"Póki my żyjemy!" Polska musi żyć!  
Szedłeś na tułaczkę, lub do partyzantki,  
By na wszystkich frontach o wolność się bić!

## *Moja Mamo*

(1983 r.)

Za swe

zbyt wcześnie  
pólsieroce  
dzieciństwo  
i od zarania  
zaharowane  
lata młode

brałaś sobie  
na losie  
odwet

stworzyłaś  
dzieciństwo  
Twych córek  
stubarwne  
w ogrodzie  
wśród kwiatów  
jarzyn  
owoców  
i motyli

Szylaś nam

sama  
kolorowe  
sukienki  
batystowe  
bufiaste  
falbaniaste  
perkalikowe  
sportowe

nowe

czy przerabiane  
o jakich  
Twe przesmutne  
dziecięce lata  
ani śniły

Torby

pełne prowiantów  
dźwigałaś  
z placu Krakowskiego  
albo  
aż z Rynku

gotowałaś

smażyłaś  
piekłaś  
bez chwili  
spoczynku

aby prędzej

aby poszyć jeszcze  
i wyplewić grządki  
i kończyć konfitury  
i robić porządki

Stawałaś  
przed wielką balią  
i szorowałaś  
ciężkie pranie  
na tarze  
i łapałaś  
deszczówkę  
płynącą  
z rynny

na płukanie bielizny  
i na mycie  
naszych włosów  
aby były  
puszyste  
myte wywarem  
z orzechowych  
liści

Zaścielałaś  
pledem  
i białą płachtą  
wielki stół  
podwórzowy  
bo na powietrzu  
mniej  
boli głowa

i machałaś  
żelazkiem  
aby rozżarzyć  
węgiel drzewny  
aby pewniej  
dobrze  
prasować

A wieczorem  
dla wypoczynku  
zasiadałaś  
do codziennego  
cerowania  
naszych pończoch  
i swoich  
i Babci  
i skarpet Ojca  
i Twoich braci



a gdy zmęczonym  
oczom  
i rękom  
zbyt trudno  
było  
igłę nawlekać  
z westchnieniem  
odkładałaś  
drewniany grzybek  
mówiąc  
czas kończyć  
bo jutro  
mam dużo  
roboty  
jeśli  
Bozia  
da  
doczekać

Czasem znów  
stukałaś igłą  
w płótno  
napięte  
na tamborku  
i różnobarwne  
kwiaty  
wykwitały  
spod wzroków

I dom zdobiłaś  
w poduszki  
w makatki  
i w serwety

Madonnie  
przy wiecznej  
lampce oliwnej  
zmieniałaś  
świeże  
bukiety

A w niedziele  
wieczorem  
przy lampie  
naftowej  
czytałaś  
książkę  
łzami znacząc  
strony  
największych  
wzruszeń  
i szkła  
przecierałaś  
ze szczęścia

Albo

wkładałaś  
radiowe słuchawki  
na uszy  
i zaśmiewałaś się  
z pomysłów  
Tońcia  
i Szczepcia

I to pamiętam

jak kolejno  
stroilaś nas  
do Komunii  
jak upinałaś welon  
i mirtowy wianek  
i podpowiadałaś mi  
zbyt trudne  
"abyśmy się stali  
godnymi  
obietnic  
Pana  
Chrystusowych"

i marzyłaś  
że kiedyś  
będziesz  
stroila  
swe córy  
w ślubne  
welony

tego jednak  
Bozia  
nie dała Ci  
doczekać

to już  
nie było  
Ci dane

Ty zawsze

jak i Babcia  
widziałaś  
biedniejszych  
dawałaś im  
żywność  
i odzież

I nigdy

nikt  
kto prosił  
bez wsparcia  
od nas  
nie odszedł

A kiedy

spotkałaś Julkę  
w nieszczęściu  
na skraju  
rozpaczy

Tyś

nauczyła ją  
szycia  
aby mogła  
wziąć się  
do pracy

Później

w ciężkie lata  
bezrobocia Ojca  
modlitwa  
Twą była  
ostoją  
praca  
obroną  
Twoją

Wciąż byłaś

dla Babci  
najlepszą  
córką  
dla nas  
najlepszą  
Matką  
dla Ojca  
najlepszą  
żoną

Przetrwałaś

kryzys  
rozłąkę  
i pewnie  
mogłabyś  
żyć już  
spokojna

lecz wtedy

właśnie  
wybuchła  
druga  
w Twym życiu  
światowa  
wojna

I Twoje ręce  
przezyste  
zawsze spracowane  
wielekroć  
sparzone  
spieczone  
pokłute agrestem  
którego  
nikt inny  
nie chciał zrywać  
a wszyscy  
bardzo lubili

Twoje ręce  
na ostatek  
z przymusu  
rozpaczliwie  
bezczyenne  
w bezruchu  
beznadziejnie  
marzyły  
o najmniejszej  
odrobince  
pracy  
o najmniejszym  
chleba  
okruchu  
gdyby tak  
był  
chleb

Twoje ręce  
bezsilne  
kryły twarz  
kryły oczy  
oczy stęsknione  
za Krajem  
swym miastem  
i Domem

oczy  
wygłodzone  
niezdolne  
do płaczu  
spłowiałe  
od łez

Nie było nikogo  
kto  
dałby  
nadzieję  
tym oczom  
nikogo

Nikogo

kto

mógłby

pomóc

tym

rękom

nikogo

kto

mógłby

choć

ucłować

te ręce

Nawet

nikogo

do pożegnania

mnie

nie było

tam

też

moja Mamo

Kochana

Wybacz

## *Mojemu Ojcu*

(1984)

Od najwcześniejszych mych dziecięcych lat,  
Wciąż żądna bajek, stale ich niesyta,  
Szłam gdzieś za Tobą w baśniowy świat,  
Zanim się jeszcze nauczyłam czytać,  
A Tyś cierpliwie co dzień na dobranoc  
Po dniu niełatwym, po dniu pracowitym,  
Baśń opowiadał na ten dzień wybraną,  
By mi odkrywać światy nieodkryte.

Ileż to bajek znały Twoje palce!  
Jak błyskawice biegały po kaszcie,  
Gdy, jako zecer, drukowałeś książki.  
Tak świat Twej pracy, bezkresny, książkowy,  
Stał nam się bliski i tak dobrze znany,  
Że aż porywał, uderzał do głowy,  
Fascynujący i niezapomniany.

Tyś nas wprowadzał w książek tajemnice,  
Uczyłeś, że są plonem ludzkiej pracy,  
Którym się przejąć można i zachwycać.  
Zaczęłam patrzeć na książkę inaczej.  
I już wiedziałam, że ona poradzi,  
Jest przyjacielsko wyciągniętą dłonią,  
Objaśnia, uczy, potrafi prowadzić  
I jak najczęściej warto sięgać po nią.

I tak, jak Mama uczyła nas życia,  
Od pierwszych kroków, wcześniej: od zarania,  
Tak Ty, mój Ojcze, świat nam upiększyłeś,  
Przez miłość książek i radość czytania.  
Potem Cię kiedyś, na przełomie zdarzeń,  
Prosiłam, abyś wszystko pisał (skrycie),

A Tyś na styku rozpaczy i marzeń  
Rzekł: "Naszą dolę samo pisze życie.  
Staraj się - rzekłeś - sens tych lat rozumieć.  
Na bieg wypadków miej oczy otwarte,  
A czas, jak autor, snuć będzie opowieść  
Co dzień wpisując nową życia kartę".

A gdy nas straszna, wojenna lawina  
Strącała w przepaść z egzystencji szczytu,  
Tyś kazał wierzyć nam w szczęśliwy koniec  
Historii życia... i ...w celowość bytu.  
I wspominałeś książki o zesłańcach,  
Jak to latami trwali na Sybirze  
I jak nadzieję, gdzieś na ziemi krańcach,  
Sercem wspierali w strasznych dziejów wirze.

Ty w czas tak smutny, jak koniec tragedii,  
Walcząc o życie słabych sił ostatkiem,  
W ostatnim liście zdołałeś się jeszcze  
Dzielić nadzieją... dzielić, jak opłatkiem,  
Mój Ojcze!

## *Nie potępiaj*

Pamiętaj  
jeśli nie przeżyłeś  
nocą  
takiego wstrząsu  
że ci aresztują  
siostrę  
młodą  
za to że jest  
Polką  
nie potępiaj  
że to  
pamiętam

Pamiętaj  
jeśli nie patrzyłeś  
bezsilny  
na matczyne  
rozpacje  
nie potępiaj  
że tak trudno  
wybaczyć

Pamiętaj  
jeśli nie widziałeś  
ojcowej  
bezbronnej  
udręki  
nie potępiaj  
że nie sposób  
zapomnieć  
tej męki

Pamiętaj  
jeśli nie byłeś  
nocą  
z najbliższymi  
zabrany przemocą  
z pośpiesznie  
chwyconym  
maleńkim tłumoczkim  
paru rzeczy  
porwanych  
na długie  
lata wśród obcych  
gdzie najsrozsza  
zima  
nie potępiaj



że pamiętam  
wspominam

Pamiętaj  
jeśli ze snu  
ciebie  
nie wyrywano  
co nigdy  
przenigdy  
nie wróżyło  
nic dobrego  
nie potępiaj  
że nagle  
ze snu zerwana  
krzyczę  
nie potępiaj  
i nie pytaj  
dlaczego

Pamiętaj  
Jeśli  
nie musiałeś  
obywać się  
bez wszystkiego  
co koniecznie  
co dzień  
trzeba  
bez wody  
mydła  
miednicy  
wiadra  
pościeli  
pośłania  
bez chleba  
bez chleba  
bez dachu  
nad głową  
bez miejsca  
dla siebie  
żywności  
nadziei  
odzieży  
nie potępiaj  
że można  
hasłom  
nie wierzyć  
ludziom  
nie wierzyć

Pamiętaj

jeśli żyjesz  
zwyczajnie  
w normalnych  
czasach  
nie potępiaj  
tych  
do których  
koszmar  
przeszłości  
wojennej  
nieraz  
wraca  
przeszłości  
takiej  
jakiej  
nie życzy się  
nikomu

nikomu

Pamiętaj  
nie potępiaj  
nie potępiaj  
zrozum

zrozum

## *(Epilog) Poranne westchnienie*

Dziękuję Ci, Panie, za sen,  
Dzięki za przebudzenie,  
Za to, że dach nad głową mam,  
Odzież i pożywienie.

Dziękuję, że rodzinę mam  
I łączą mnie z nią więzy,  
Za zwykły dzień w normalny czas,  
Bo wszystko to jest szczęściem.

Za zdrowie takie, jakie jest,  
Bo mogło z tym być gorzej.  
I żeś Miłością, która trwa,  
Dziękuję, Panie Boże.

Ty pomagałeś przeżyć mi  
I wojnę, i zesłanie,  
I przez niełatwy szereg lat  
W opiece miałeś, Panie.

Cóż ofiarować mogę Ci  
Za łask i darów tyle?  
Przyjmij ten dzień. I serce me.  
I każdą życia chwilę.

(Kraśnik, IV. 1996 r.)



